

665 „Dziady kowieńskie”

Inscenizacją „Dziadów” Adama Mickiewicza od dawna towarzyszył dylemat: czy wystawiać to ogromne dzieło w całości, czy też rozbijać na dwa różne spektakle, obejmujące część II i IV i osobno część III – czyli na „Dziady” kowieńskie i drezdeńskie.

Przeważała koncepcja łącznego pokazywania wszystkich części, koncepcja mająca ogromną tradycję ciągnącą się od projektu Wyspiańskiego poprzez inscenizację Schillera i Pronaszki aż po spektakl Swinarskiego. Pociągała ona co prawda za sobą konieczność dokonywania skrótów (przeważnie cierpiała na nich szczególnie część IV) i zmuszała do szukania wspólnego klucza do różnych tonacji poszczególnych części utworu.

Od kilku sezonów panuje moda na „Dziady” fragmentaryczne, często „cięte” w dowolny i mocno kontrowersyjny sposób. Trochę inaczej ma się rzecz z dwoma spektaklami „Dziadów”, jakie można oglądać w obecnym sezonie na warszawskich scenach. W Teatrze Narodowym Adam Hanuszkiewicz wystawił część III (o tej premierze pisałem już w numerze 49/1978), a w Teatrze Współczesnym przedstawiono „Dziady kowieńskie” w reżyserii Jerzego Kreczmara z muzyką Bernadetty Matuszczak. W obydwu przypadkach mamy do czynienia z dziełami dojrzalymi, z wielkim pietyzmem odnoszącymi się do tekstu Mickiewicza. Obydwa też spektakle potrafią obronić swój kształt, jak również decyzje reżyserów wystawienia tylko części wielkiego dramatu. U Hanuszkiewicza część III „Dziadów” została wpisana w porządek tryptyku o Adamie Mickiewiczu, zaś Jerzy Kreczmar...

„Właśnie – Jerzy Kreczmar jest od dawna znanym zwolennikiem pokazywania arcydramatu Mickiewicza w dwóch różnych, odrębnych spektaklach. Dawał swemu stanowisku wyraz kilkakrotnie w ogłaszanych na łamach prasy i w wydaniach książkowych artykułach. Jednak – jak wiadomo – od teorii do praktyki droga daleka. Co prawda Kreczmar reżyserował już przed kilkunastu laty w Katowicach z powodzeniem część III „Dziadów”, ale – powiadali niektórzy – „Dziady” drezdeńskie mogą istnieć autonomicznie, zaś kowieńskie nie. Przedstawienie w Teatrze Współczesnym pozwala więc ocenić, w jaki sposób idea Kreczmara ożywa czy sprawdza się w praktyce scenicznej i wreszcie – kto ma rację: reżyser czy sceptycy.

Powiedzmy od razu, że racje są podzielone. Kreczmar spróbował zbudować spektakl jednolity, w którym przeżycia Gustawa w części IV „wynikają” z filozofii głoszonej w obrzędowej części II. Ta jednolitość została dodatkowo podkreślona poprzez więź personalną: Pustelnika, Upiora i Gustawa gra ten sam aktor – Jan Englert. Również powrót gromady wiejskiej – zbiorowego bohatera części II „Dziadów” a w przedstawieniu Kreczmara pierwszego aktu – pod koniec spektaklu zamyka całość w swoiste ramy. Podkreślona też została w kilku momentach pewna sztuczność czy teatralność widowiska – zarówno w jednej, jak i drugiej jego części. Pojawienie się duchów w czasie obrzędu, duchów wyraźnie kiczowatych, jak z amatorskiego przedstawienia, wnosi ten sam nastrój, co późniejsze „popisy” Gustawa. Z drugiej jednak strony, mimo prób podkreślenia ciągłości, różnice między rytualną częścią przedstawienia a kameralną akcją części następnej są wyraźne i nie przewyciężone.

Do przerwy obserwujemy ludowy obrzęd dziadów o wyraźnym operowym charakterze (co zgodne jest z literą i intencją tekstu). Na plan pierwszy wysuwa się postać Guślarza (Andrzej Stockinger), wywołującego duchy i narzucającego odpowiedni nastrój gromadzie. Z rozmaitych elementów – muzyki, chóralnych śpiewów i recytacji, kilkakrotnych powtó-

rzeń niektórych fragmentów – buduje tu Kreczmar całość jednolitą, jakby wręcz wykutą z pojedynczej bryły. Mimo jednak wspomnianych już mocno uteatralnionych duchów, całość ta sprawia wrażenie zbyt zimnej, klasycznej. Ginie tu ów tak charakterystyczny i ważny dla II części „Dziadów” ton ludowej żywołowości. Ten ton, który udało się wspaniale wydobyc Swinarskiemu w jego inscenizacji „Dziadów” w krakowskim Teatrze Starym.

Podobnie odbiera się – choć z zupełnie różnych powodów – monolog Gustawa. Jan Englert robi bardzo wiele, aby monolog ów udratyzować, ożywić. Niezłym odbiorcą wynurzeń Gustawa jest też Zdzisław Mrożewski grający Księdza. Ani jednak ekspresja roli Englerta ani spokój Mrożewskiego części drugiej przedstawienia uratować nie mogą. Być może – nasuwa się refleksja – mieli rację ci, którzy dokonywali ogromnych skrótów tej części „Dziadów” Liryka Mickiewicza, wspaniała w lekturze, na scenie współczesnego (czy może tylko Współczesnego) teatru nuży i zostawia widzów obojętnych.

W spektaklu Kreczmara za dużo jest chyba filologicznego stosunku do tekstu, jak również wierności pewnej koncepcji inscenizacyjnej, za mało zaś życia. To ostatnie zaś potrzebne jest również arcydziełom, może nawet szczególnie własnie arcydziełom.

KRZYSZTOF PYSIAK

Teatr Współczesny w Warszawie. Adam Mickiewicz: „Dziady kowieńskie”. Reżyseria: Jerzy Kreczmar. Muzyka: Bernadetta Matuszczak. Scenografia: Jan Polewka.



Scena ze spektaklu

fol. CAF